

Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 20 (2024)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Na defiladę – czy na psychoterapię? Michał Bilewicz, Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości, Kraków: Mando, 2024, 336 s.

To the parade – or to psychotherapy? Michał Bilewicz, Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości

Marcin Kula
Uniwersytet Warszawski, emeritus

j.m.kula@uw.edu.pl
ORCID: https://orcid.org/0000-0002-5161-5027

DOI: https://doi.org/10.32927/zzsim.1087
Strony/Pages: 518-533

CC BY

OPEN ACCESS

Zagłada Żydów. Studia i Materiały, R. 2024, nr 20
ISSN (print): 1895-247X; eISSN: 2657-3571
DOI: https://doi.org/10.32927/zzsim.1087

Marcin Kula

Uniwersytet Warszawski, emeritus
https://orcid.org/0000-0002-5161-5027
j.m.kula@uw.edu.pl

Na defiladę – czy na psychoterapię?

Michał Bilewicz, *Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości*, Kraków: Mando, 2024, 336 s.

Streszczenie
Michał Bilewicz przygląda się tytułowemu problemowi z punktu widzenia psychologii – acz trzeba docenić, że nie ogranicza się do swojej dyscypliny. Autor niniejszego eseju, napisanego na marginesie książki, w ramach historii rozważa użyteczność pojęcia „traumy" do wyjaśniania obserwowanych zjawisk. Doceniając wagę traumy w dziejach społeczeństw, zwraca uwagę, że praktycznie nigdy nie działała i nie działa ona jako jedyny czynnik sprawczy. Analizowane sprawy rozważane są przez obydwu autorów na przykładzie różnych krajów. Poruszanym problemem jest też kwestia wyprowadzania narodu z historycznej traumy. Potrzebne są zmiany nauczania historii w szkołach, w tym rozważanie zagadnień rodzących traumy jako szerokich zjawisk, także jako problemów nieograniczonych do poszczególnych narodów.

Słowa kluczowe
trauma i jej skutki, wychodzenie z traumy, interdyscyplinarność badań, przekazywany obraz historii, prawda i fałsz w obrazie przeszłości, dydaktyka historii, historia jako konstrukt?

Abstract
Michal Bilewicz looks at the title problem from the point of view of psychology – yet it should be appreciated that he does not limit himself to his discipline. The author of this essay, written in the margins of the book, considers within the framework of history the usefulness of the concept of "trauma" for explaining observed phenomena. While recognizing the importance of trauma in the history of societies, he points out that it has practically never acted and does not act as the sole causal factor. The analyzed cases are considered by both authors on the example of different countries. The issue of leading a nation out of historical trauma is also addressed. Changes are needed in the teaching of history in schools, including consideration of trauma-generating issues as broad phenomena, including as problems not limited to individual nations.

Keywords
trauma and its effects, recovery from trauma, cross-disciplinary research, transmitted image of history, truth and falsehood in the image of the past, didactics of history, history as a construct?

Od lat narzekałem, że historia jako dyscyplina w zbyt małym stopniu wchodzi w kontakt z innymi dziedzinami nauki. Z czasem moje jęki straciły trochę na aktualności. Ja pewno będę nadal narzekał jak ta skorupka, która za młodu…, ale przyznaję, że wielu historyków już zerka poza własne mury, a ci z zewnątrz też czasem się do nas zbliżają. W „ludowym" nurcie refleksji historycznej spotkali się przedstawiciele bardzo różnych dziedzin. Ostatnio zaś potężnym krokiem zbliżył się do nas psycholog, prof. Michał Bilewicz. Swoją drogą – przez całe zawodowe życie chciałem współpracy historyków z socjologami, a tu naprzeciw wyszedł psycholog! To cieszy, gdyż autor – wbrew prezydentowi RP, który wciąż nie chce podpisać jego nominacji profesorskiej – jest specjalistą wybitnym, a recenzowana książka jedną z ciekawszych, jakie ostatnio czytałem.

Jako badacz społeczny w mojej ocenie muszę oczywiście wziąć pod uwagę rozmaite czynniki. Może być, że autor po prostu utrafił w moje zainteresowania (do stwierdzenia tego potrzeba dodatkowych badań). Mam jednak także bardzo poważne argumenty za Bilewiczem. Podobał mi się jego sposób myślenia i pisania. Sięga on do dorobku różnych nauk. Czyta moich uczniów historyków, nawet jeśli nie od naszej dyscypliny oczekuje pomocy w pożądanej przez siebie (przeze mnie też!) zmianie myślenia o historii w Polsce („Naszymi przewodnikami będą tu jednak nie historycy, ale socjolog, ekonomista i pewna organizacja pozarządowa", s. 271). Rozważa przedmiotowy problem w różnych miejscach i czasie, a nie jedynie na wybranej scenie. Jest w książce dużo o społeczności żydowskiej – ale nie jest to, jak często się spotyka, specyficzna historia Żydów, przedstawianych jako wyjątkowa społeczność. Tak samo jest dużo o Polsce – ale podobnie na tle porównawczym. Nawet na okładce książki napisano: „Pokazuje, że nie jesteśmy unikalni", a Bilewicz w tekście zadeklarował na przykład: „Nieprzypadkowo podczas badań Polaków tak często przychodzą nam do głowy porównania z Czarnymi w Stanach Zjednoczonych czy natywnymi mieszkańcami Ameryki" (s. 170).

Co ważne, autor chce widzieć sprawy na tle ogólnej wiedzy o człowieku i, szerzej, o ludziach. Spodobała mi się jego obserwacja związana z uzyskiwanymi odpowiedziami: „Czy rzeczywiście ktoś może zupełnie serio uznawać, że co druga osoba spotkana na ulicy rzuci się, by ratować jakiegoś obcego sobie człowieka? A w szczególności wtedy, gdy grozi za to kara śmierci dla całej rodziny, a zapewne i sąsiadów?" (s. 118–119). Nie porozumiewając się z Bilewiczem, w jakimś artykule o rozważaniu tego problemu w szkole proponowałem nauczycielom, by zapytali uczniów, ilu z nich wystąpiłoby na przykład w obronie Wietnamczyków (odpukać w niemalowane drzewo!) przy jakiejś awanturze w tramwaju? Sam zresztą pamiętam sytuację, w której zareagowałem, gdy kierowca autobusu po chamsku potraktował na przystanku nawet nie „obcego", ale „tubylca". Po chwili awantury cały autobus był przeciw mnie – bo ludzie po prostu chcieli jechać dalej.

Co bardzo ważne, Bilewicz idzie w kierunku, którego pożądałem i pożądam w uprawianiu historii – ku badaniom porównawczym między krajami i sytuacjami. W pewnym stopniu także sięga do różnych czasów – do historii oraz do te-

raźniejszości (zostawmy na boku, że ona też szybko staje się historią, zwłaszcza w związku z następującym przyspieszeniem biegu spraw i dziejów). Nawiasem mówiąc, chętnie postawiłbym pytanie: czy, a raczej w jakim stopniu i jakie mechanizmy psychologiczne są zrelatywizowane do czasu i miejsca?

Bilewicz prowadzi badanie problemowe, a nie w perspektywie epizodycznej (faktograficznej) – jak do niedawna często, a obecnie szczęśliwie rzadziej historycy. Te drugie też są potrzebne, ale nie mogą być jedyne. Bilewicz zna i powołuje ogromną liczbę badań, także rozległą literaturę – jedno i drugie z wielu krajów. Patrzy na otoczenie, czyta powieści, ogląda filmy, uwzględnia własne wspomnienia i obserwacje otoczenia, przygląda się miejscom rodzącym traumę (Auschwitz), rozgląda się po dobrze mu znanym warszawskim Muranowie, notuje wrażenia o własnych studentach, z którymi jedzie do Auschwitz, ale też z miasta Oświęcim. Interesują go muzea i rekonstrukcje historyczne, wspomnienia pozostawione przez ludzi (Ośrodek Karta!). Stworzył książkę do czytania, a nie „tylko" do studiowania przez kolegów po fachu. Prowadzi z czytelnikiem rozmowę jak człowiek, a nie zamyka się w swoim gabinecie. Nie wiem zresztą, czy go ma. Sam przez całą drogę zawodową gabinetu nie miałem (poza krótkim czasem w drugim miejscu pracy) – co może mnie traumatyzowało, ale na szczęście mogłem zmniejszać traumę różnymi sposobami.

Gdy Bilewicz coś mówi, powołuje tyle badań własnych i cudzych, czyni tyle zastrzeżeń, niuansów i wskazuje tyle alternatywnych wyjaśnień, że nie sposób tego spamiętać. Bardzo możliwe, że jakaś z moich poniższych uwag będzie nieuzasadniona, gdyż sprawa została uwzględniona w książce na innej stronie. Proszę jednak mieć na uwadze, że co najwyżej wchodzę w dyskusję, podczas gdy krytyka książki jest ostatnią z rzeczy, jakie chciałbym robić.

* * *

Mało wiedząc o zawodowej psychologii (co jest oczywiście jednym z powodów mojej zawodowej traumy!), byłem przy lekturze zaskoczony, jak wiele ustaleń mnie nie dziwiło. W życiu spotykałem się z takimi zjawiskami, zauważałem je i zapamiętywałem. Z grubsza każdy z nas może znaleźć u siebie ślady jakichś traum. Gdy mnie kiedyś zawiódł komputer, to po opanowaniu sytuacji przez parę dni sporządzałem kopię nieomal z kolejnych zdań. Każdy, kto sparzył się przy kuchni, przez jakiś czas ostrożniej bierze garnek. Pamiętam, jak po samochodowej stłuczce przez kilka dni trudniej było mi siadać za kierownicą – choć fizycznie i ja, i kierownica byliśmy w porządku. Ukraińcy, którzy przeżyli bombardowania, mocno reagują na syreny – nawet gdy są daleko. Narodowe traumy wywołują poczucie, że kraj jest otoczony wrogami? Pamiętam, jak na spacerze mijałem grupę wyraźnie cudzoziemską. Ktoś idący ze mną zapytał mnie, w jakim języku oni mówią. Zdawało mi się, że po hebrajsku, lecz nie znając tego języka, zapytałem kogoś z grupy. Odpowiedział mi, że faktycznie po hebrajsku, ale zrobił to z taką miną i akcentem, jakby mówił „Przeszkadza ci to?! Does that

bother you?!". Pozostało mi życzyć mu dobrego spaceru. Korespondując z jeszcze szkolnym kolegą, od lat Izraelczykiem, już nieraz doszliśmy do wniosku, że Polska (akurat jeszcze wtedy PiS-owska) przypomina Izrael i odwrotnie. Nawet przesłaliśmy sobie fotografie ciastek z jakiejś cukierni, z podobną dekoracyjną symboliką patriotyczno-niepodległościową. Niestety, oba kraje konkurują w zakresie cierpienia i w zakresie bohaterstwa. Bilewicz na podstawie badań mówi, że taka sytuacja odzwierciedla nie tyle konkurencję, ile przekonanie, że „Polska jest narodem ofiar i że nasza historia jest niedoceniona" (s. 245). Przemawiają za tym także argumenty z różnych obserwacji – jak z reakcji na postawienie pomnika Powstania w Getcie przy długotrwałym braku pomnika Powstania Warszawskiego, spotykane niezadowolenie, że świat wie o tym pierwszym częściej niż o tym drugim, pieniądze niemieckie, które popłynęły dla różnych krajów, ale nie dla Polski (pomijam aspekty formalne tej ostatniej sprawy, nie ją samą tu dyskutuję). Może więc przyczyny w Polsce oraz Izraelu są różne, ale objawy podobne.

Inny przykład wniosku wyprowadzonego z badań: społeczność straumatyzowana nie jest skłonna do uznania własnych win; ofiara nie uzna, że była też sprawcą. Coś o tym wiadomo także z życia. Pobity w szkole chłopak nigdy nie przyznał, że to on zaczął (przepraszam, według dzisiejszych wymogów powinienem powiedzieć „żaden chłopak, ani żadna dziewczyna", ale naprawdę dziewczyny nie kojarzą mi się z bójką).

Straumatyzowana społeczność przypomina sukcesy i marzy o sukcesach? Oczywiście, wystarczy spojrzeć na zapewnienie, że pewna powszechnie znana w Polsce książka była pisana „ku pokrzepieniu serc"– lub posłuchać wyrazów nadziei sportowców, którzy przegrali, że może już jutro zwyciężą. Wystarczy popatrzeć na dumę w Izraelu z osiągnięć Żydów, liczbę laureatów Nagrody Nobla zaliczających się bądź zaliczanych w Izraelu do własnej społeczności. Wystarczy przyjrzeć się – i pamiętać – o nastawieniu Rosjan do pamięci o zwycięstwie w 1945 r. Po traumach, które oni przeszli przecież jeszcze przed drugą wojną światową, a potem podczas niej, trudno sobie wyobrazić akceptowanie przez nich tego, co inne narody zapamiętały o wejściu Armii Czerwonej w 1944 i 1945 r. Na dodatek tak formowano tam tradycję, że znacznie więcej było mowy o miejscu Rosjan w cierpieniach oraz ich roli w zwycięstwie niż o doświadczeniach innych narodów, zaś rolę paktu Ribbentrop–Mołotow w najlepszym razie wykoślawiano. W PRL podtrzymywano wizję bohaterską, tylko zmieniano bohaterów. Monte Cassino zastąpiono przez Lenino, Piłsudskiego chciano zastąpić Świerczewskim, mówiono dużo o cierpieniach narodu, ale przecież nie o Wołyniu… Domniemywano, że społeczeństwo będzie w każdym razie receptywne na bohatersko-martyrologiczną wersję historii. Jeśli niedobre sprawy w stosunkach chrześcijańsko-żydowskich w Polsce, zwłaszcza podczas wojny, wygaszano bardzo szybko po wojnie, a w ogóle nie chciano pamiętać o Żydach, to trudno oczekiwać, by ludzie nie byli zaskoczeni książką Jana Tomasza Grossa. Do różnych czynników odnoszenia się do niej trzeba i ten dodać. Jeżeli w różnych miej-

scowościach nie tylko spontanicznie zanikała pamięć o Żydach, to trudno, by tam jeszcze pamiętano o negatywnych elementach we wzajemnych stosunkach. Oczywiście to wszystkiego nie tłumaczy, ale o tym też warto pamiętać.

Straumatyzowani myślą o sobie jako wspaniałych? W USA nie tylko dziedziczący historyczne traumy społeczności natywne (czy Afroamerykanie też?) myślą o sobie, że są wspaniałe. Biali Amerykanie też są często o tym przekonani, a nie mają powodów do jakichś nadzwyczajnych traum. W każdym razie równie dobrze Trump jak Biden, tym razem podobnie, mówią o wspaniałej Ameryce. Oczywiście w poparciu Trumpa przez wyborców występuje na przykład czynnik traumy pewnych obszarów USA i on wykorzystuje tę okoliczność – ale hasło „Make America great again" nie wynika z historycznej traumy narodu (Bilewicz wie o tym, mówiąc, że „[i]dealizują historię [m.in.] ludzie, którzy idealizują też samych siebie", s. 120).

Traumę można na różne sposoby przejąć od poprzednich pokoleń lub z atmosfery bądź systemu wartości społeczności? Tak – autor zaś pokazuje to bardzo ciekawie w wypadku odłożonych skutków Holokaustu. Owo zjawisko można jednak obserwować też w sytuacjach może szczęśliwie nie codziennych, ale jednak nieporównywalnie mniej dramatycznych. Wiadomo, że rodzice, którzy nie przeżyli co najmniej przeciętnie szczęśliwego dzieciństwa, mają kłopoty z wychowaniem własnych dzieci. Nigdy nie nadawałem się do sportu, przeżywałem traumę związaną z lekcjami WF-u w szkole (*sic*!), no i nie zainicjowałem własnych dzieci do sportu – pokonali zaś ten problem w granicach przeciętnej normy z pewnością nie dzięki mnie. Poza wszystkim, mówiąc banalnie, a nie z odwołaniem się do psychologii, nic z tego zakresu nie umiałem.

Czasem trudno wręcz powiedzieć, czy oddziałuje bodziec przejęty od poprzedniego pokolenia, czy przyczyna zrodzona samoistnie. Dwa przykłady własne – jakbym się sam kładł na przysłowiowej kozetce u psychologa. Do dziś pamiętam, jak w zupełnym dzieciństwie, we wczesnopowojennej Warszawie, wsiadłem z Ojcem do autobusu. Nagle w silniku tego ledwo trzymającego się kupy pojazdu coś wybuchło. Nim przeszło echo, byłem u drzwi z myślą, a może pytaniem, czy to bomba, choć sam nie mogłem bomb pamiętać. Takie zjawisko może nabrać cech zabawnych. U znajomych syn urodził się na krótko przed Powstaniem Warszawskim, a córka już po wojnie. Gdy dzieci, jeszcze małe, pokłóciły się, rodzice podsłuchali chłopca wołającego do siostry: „Ty mnie nie denerwuj, bo ja przeżyłem Powstanie!". Inny przykład: w dorosłym życiu, po prostu obecnie, czasem śnią mi się ruiny. Choć urodzony w Warszawie podczas wojny, nigdy w ruinach nie mieszkałem – ale oczywiście pamiętam ruiny z dzieciństwa, także z późniejszych lat. Co w takich gdzieś zachomikowanych wspomnieniach przejąłem od Rodziców, a co z moich doznań z oglądanych obrazów – trudno powiedzieć.

Traumą łatwo się „zarazić"? Ależ oczywiście. Wystarczy prowadzić samochód, gdy obok siedzi ktoś zdenerwowany; zdenerwowanie łatwo się udziela. Do niektórych prac w podenerwowanej atmosferze trzeba się izolować przynajmniej

psychicznie, czasem od całej społeczności, pokręconej dalszymi lub bliższymi przeżyciami – a najlepiej zamknąć drzwi. Przy poważnej, chronicznej chorobie w domu w pewnym sensie choruje cała rodzina i to nie tylko na skutek praktycznych kłopotów. Miałem studenta, który czytając pamiętniki z getta warszawskiego do swojej pracy magisterskiej, zaczął mieć kłopoty ze snem; sądził, że nie tylko z przepracowania. À propos: dziś w nocy źle spałem. Może to dlatego, że wczoraj cały dzień czytałem Bilewicza o traumach i „zaraziłem się"? Ponieważ Bilewicz jako psycholog powiedział, że najgorszym podejściem do traumy jest chowanie jej w brzuchu, a lepiej mówić (rozmawiać) o jej przyczynach, więc, nie przyrównując spraw (!!!), zdecydowałem się w niektórych punktach nawet nie polemizować z nim, ale jednak porozmawiać. Spisuję to, co mi się nasunęło przy czytaniu. Na poważnie: Bilewicz pisze, że straumatyzowani, składający zeznania przed sądem na przykład podczas procesu Eichmanna, „mogli czuć, że odzyskują godność i że ich cierpienia spotykają się ze społecznym uznaniem" (s. 226). Nie jestem tego pewien. Wiem, że wielu zainteresowanych nie chciało po wojnie opowiadać dzieciom o przeżyciach Żydów i nie mam pewności, czy oni lub dzieci byli przez to w gorszej sytuacji. Nie wiem, czy mieszkańcy Jedwabnego byliby szczęśliwsi, gdyby dowiedzieli się już dawno, jak wielu ludzi z ich środowiska brało udział w zbrodni. Teraz jakoś nie słychać o ich uldze, choć już wiedzą.

Gdy mowa o różnych drogach wychodzenia z traumy, to z codziennego życia można wskazać osoby, które poszły inną niż dotychczas drogą, znalazły sposób, by osiągnąć kompensacyjne sukcesy, a przynajmniej spokój. Można zaproponować poszczególnym osobom lub grupie kompensację udawaną – co czasem działa skutecznie. Można ubrać straż parlamentarną w mundury przypominające generalskie z jakiejś republiki bananowej i tak zwiększać dumę społeczności. Można uhonorowywać ludzi masą odznaczeń, jak w ZSRR. Obwieszoną medalami marynarką kompensowali sobie znaczną część traumy, jaką niosło życie. Można, dajmy na to, trwać przy własnych wartościach, uznając je za lepsze. Niejedną falę konserwatyzmu czy nastawienie konserwatywne można tłumaczyć traumą. Można propagować, można po prostu żywić przekonanie, nieraz wiodące do rasizmu, że własna grupa jest lepsza niż inne. Takie drogi w skali szerszych społeczności mogły prowadzić do pewnych decyzji politycznych. Otoczenie może leczyć – choć czasem złym lekarstwem. Świat arabski w swoim czasie okazał znaczące sympatie Hitlerowi – bo walczył z metropoliami kolonialnymi, a część społeczności skolonizowanej w Indiach – Japonii, dla tej samej przyczyny.

* * *

Rozumiem, że w wypadku omawianej książki jej autor musiał oprzeć i oparł swoje tezy nie na przypadkowych obserwacjach, ale na badaniach spełniających wymogi metodologiczne. Sam też jestem ostrożny w mówieniu studentom, że wiem coś o PRL, gdyż ją przeżyłem, ale zachęcałem i zachęcam do badań (których fragmentem może oczywiście być zbieranie relacji!). Nie najmniej ważnym ele-

mentem sprawy jest też dla Bilewicza stwierdzanie siły zjawiska i pytanie, gdzie jest ono silniejsze – bez tego bowiem w ogóle można powiedzieć, że z grubsza wszystko można stwierdzić wszędzie. Nawet jednak obserwacja dużego natężenia nie wszystko tłumaczy. Autor odnotowuje znacząco większą wiarę w spiski w Polsce niż w Niemczech i pyta: „Czy nie jest to aby powiązane z tym, jak widzimy naszą przeszłość, i z lekcjami, jakie z niej wyciągamy?" (s. 134). Odpowiadam pytaniem: czy historia Polski była bardziej traumatyzująca niż Niemiec? Prawda, że stwierdzanego przez autora zbiegu skłonności postawy znaczącej części opinii w Polsce i w Grecji, w myśl której Niemcy, które nas oraz Greków grabiły, nadal chcą kraj zdominować, eksploatować itd., już nie potrafię w ten sposób wytłumaczyć.

Prawda, że częsta w Grecji teza o wspaniałości własnych dziejów (w starożytności stworzyli europejską cywilizację!) i poczucie, że potem ich Europa obrabowała z marmurów Partenonu, przypomina liczący się nurt myślenia w Polsce. Plakaty z kanclerz (czy trzeba mówić: z kanclerką?) Merkel w hitlerowskim mundurze nie były daleko od zdania o „dziadku z Wehrmachtu". Rumunia była wszakże rzymską prowincją Dacia, czego chwały nośnikami są nawet jej samochody i parę innych elementów propagandy – a nie słyszałem, iżby to jakieś obce siły nie pozwoliły na środki antykoncepcyjne i urodziło się mnóstwo ludzi z pokolenia „dekreciaków"[1]. Nie pojawia się też wersja, jakoby to jakieś pozarumuńskie moce zdusiły Bukareszt przez postawienie Pałacu Ludu.

Jeszcze jedno pytanie: dlaczego Stalin proponował opinii w ZSRR wiarę w spiski, które sam wymyślał? Jeszcze w rzekomy spisek Tuchaczewskiego mógł wierzyć, gdyż mu podrzucono (fałszywe) „komprmateriały" – ale inne były całkowicie wymyślone. Wielu ludzi w nie jednak wierzyło.

* * *

Autor, jak każdy naukowiec, bardzo angażuje się w swój temat. Nie sposób przeprowadzić rozlicznych badań, przeczytać tony papieru, napisać 336 stron… i nie uznać, że dany temat jest bardzo ważny, może najważniejszy na świecie. Jako autor właśnie skończonej książki o rolach społecznych mogę przypomnieć mechanizm „wchodzenia w rolę". Znamy go zresztą z codziennego życia. Sami mówiliśmy brzydkie słowa, a jako rodzice czy dziadkowie powstrzymujemy przed tym młodsze pokolenia. Znamy to też ze świata historyków. Większość z nas żyje w przekonaniu, że epoka naszej specjalizacji bądź bohater, którym się zajmujemy, naprawdę zmienili świat. Nawet jednak bez tej obserwacji łatwo mi zgodzić się z opinią, że traumy, także zbiorowe, są zjawiskiem bardzo ważnym, nieraz decydującym o przyszłości. Nie byłoby Hitlera bez traumy znacznej

[1] Prezydent Nicolae Ceauşescu, pragnąc, by Rumunów było więcej, zadekretował zakaz sprzedaży środków antykoncepcyjnych. Rzeczywiście urodziło się sporo dzieci, ironicznie obejmowanych nazwą „dekreciaki".

części Niemców w pierwszej wojnie światowej, w zamieszaniu powojennej inflacji i wielkim kryzysie. Nie byłoby rewolucji 1917 r. w Rosji bez zamieszania konfliktu światowego, traumy mas żołnierskich wyrwanych z domów, frustracji różnych narodowości imperium. Nie byłoby ani Hitlera, ani Stalina bez ich młodzieńczych traum. W pewnych wymiarach byli oni przecież do siebie podobni. Po podpisaniu paktu Ribbentrop–Mołotow ten pierwszy w rozmowie z Hitlerem „rozpływał się w zachwytach nad panami Kremla, w których towarzystwie czuł się tak, «jakby przebywał wśród starych partyjnych kamratów»"[2]. Gdyby Hitler i Stalin spotkali się, pewno by się rozumieli – zwłaszcza gdy Hitler po przestudiowaniu na zdjęciu kształtu uszu Stalina uznał, że nie jest on Żydem.

Może przekonania wśród bolszewików w Rosji o „polskich panach", a potem Katynia nie byłoby bez ich klęski w 1920 r. Może Wołynia by nie było bez zadawnionej traumy Ukraińców na tle długotrwałej ekspansji Polski na wschód i niszczenia cerkwi u schyłku międzywojnia. Decyzja o wybuchu Powstania Warszawskiego byłaby pewno mniej prawdopodobna bez pięcioletniej traumy mieszkańców miasta, którzy tylko marzyli, by Niemcom „dokopać". Może nie byłoby strajku gdańskiego w 1980 r. bez traumy 1970 r. Może nie byłoby wielu zjawisk w Polsce, a cóż dopiero w NRD, po upadku komunizmu, gdy wielu ludzi, we własnym przekonaniu pracujących z wysiłkiem, a co najmniej we własnym przekonaniu zasadnie awansowanych, usłyszało, że są niewiele warci, jeśli nie gorzej. Zerazem jednak nie byłoby też wielu zjawisk, gdyby wielu innych ludzi, straumatyzowanych przez niesprawiedliwości ich dotykające za komunizmu, wręcz cierpienia, uzyskało praktyczną i symboliczną satysfakcję. Może wiara w spisek w Magdalence byłaby mniejsza, gdyby nie przejście od nadziei na cudowną zmianę do handlu na rozkładanych łóżkach polowych, bezpardonowego likwidowania PGR-ów i uzasadnionego bądź w mętnych celach likwidowania niektórych zakładów, także bez nie zawsze uzasadnionej roli „brygady Marriott"[3]… w sumie gdyby bardziej postarać się o zmniejszanie ryzyka masowej frustracji. Nie wiem, czy można było jej uniknąć. Znam przekonanie architektów przemiany, że można było jej dokonać tylko szybko. Zachodni alianci mieli jednak swój rozum w Niemczech po 1945 r., de Gaulle we Francji też, gdy bardzo regulowali przebieg powojennej przemiany.

Dziś występujące w szerokim nurcie nasilenie myślenia narodowego i o narodzie w Polsce budujące ambicje kraju, podkreślanie własnej roli w regionie, niechęć do Niemiec, niewiara w kwestii opierania się na zachodniej Europie przy opieraniu się na USA, które nie tylko są silne – co oczywiste – ale mają jeszcze tę zaletę, że są daleko, chęć bycia pierwszym ich sojusznikiem w Europie… daje się przynajmniej w jakimś stopniu tłumaczyć narodowymi traumami. Po-

[2] John Toland, *Hitler. Reportaż biograficzny*, tłum. Zbigniew Kościuk, Warszawa: Albatros, 2014, s. 628.

[3] Tak nieraz nazywano zachodnich doradców, którzy akurat często zatrzymywali się w Warszawie w hotelu Marriott.

pulizm eksploatuje traumy, mówi narodowi, że był i jest – wbrew pomówieniom – wspaniały, a będzie jeszcze wspanialszy, oczywiście pod kierunkiem rządzącego ugrupowania lub przywódcy. Mentalność oblężonej twierdzy jest wygodna dla rządzących, dla zwartości organizacji (Kościół katolicki w Polsce!). Przeciwników politycznych wygodnie jest pokazać jako obcych, bowiem nadawcy przekazu i „swoi" są jakoby lepsi (dopisywanie swego czasu Mazowieckiemu na plakatach wyborczych „Żyd", Bartoszewskiemu, jakoby był kapo w obozie, Tuskowi doczepianie tego Bogu ducha winnego dziadka z Wehrmachtu i wkładanie w usta bzdurnej formuły po niemiecku…). Dyskurs polityczny dostosowuje się do orientacji audytorium, a przynajmniej do orientacji jego części – gdyż inaczej stawałby się wołaniem na pustyni – ale zdecydowana grupa może też przypomnieć lub wmówić ludziom jakieś traumy. To takie biegające czółenko.

Do wszystkiego trzeba jeszcze dodać zmiany cywilizacyjne. Dziś nadanie takich pomysłów do mas jest o wiele prostsze niż dawniej, a zmniejszenie się świata i bardziej masowy obieg informacji mogą nasilać skłonność ku teoriom spiskowym. Dawniej ceny na jarmarku miejscowym nie zależały od kursów na giełdzie w Tokio, można było wskazać lokalnego kupca jako winnego. Potem zależały, ale biedacy o tym nie wiedzieli. Dziś zależą od wielu giełd oraz czynników na świecie, zaś mnóstwo ludzi pozbawionych poczucia sprawczości widzi, że coś niezrozumiałego się dzieje. Dawniej epidemia szła z innych krajów powoli, podobnie jak informacje o lekarstwach, a dziś błyskawicznie – co też może sprzyjać domniemaniu spisków.

* * *

Poczucie traumy może być mniej lub bardziej uzasadnione. Można mieć nieuzasadnione poczucie krzywdy, a dziecko, które stłucze kolano, ryczy, jakby doznało nie wiedzieć czego. Jednocześnie przecież traumy mogą mieć odmienne przyczyny, jednorazowe i długotrwałe, oddziałujące gwałtownie i przypominające łagodny ból zęba, różne nasilenie i skutki zależne od wielu czynników, różnie mogą się też rozładowywać – czego autor jest świadomy. Może zaistnieć trauma według różnych cech stosunkowo łagodna – przeszkadzająca w bytowaniu „tylko" przez odczuwanie „szklanego sufitu". Fale głodu czy epidemie mają różne natężenie i długotrwałość, a więc także różne skutki. Istotną okolicznością jest też to, na jakie tło, czy to osobiste, czy szerszej społeczności, trafia doświadczenie. Szczęśliwie nie każdy sfrustrowany malarz staje się Hitlerem. Nie każdy, nawet jeśli wielu doznało narodowej traumy, od razu za takim Hitlerem idzie. To różnie i w ramach różnych zjawisk ewentualnie wspomagających się układa. Trauma może nawet prowadzić do zwiększonego u danej osoby altruizmu („Polskie doświadczenia wojenne u wielu ludzi mogą prowadzić do altruizmu zrodzonego z cierpienia", s. 260). Bartoszewski, więzień Auschwitz, działał w kierunku polsko-niemieckiego pojednania. Z tego punktu widzenia bardzo ciekawe są pogranicza społeczności – rodzące zróżnicowane reakcje.

Z mojego punktu widzenia interesującą do zgłębienia sprawą byłby właśnie związek działania czynnika traumy z innymi czynnikami. Istnieją mechanizmy przenoszenia agresji i kozła ofiarnego. W pogromach Romów w Mławie i Oświęcimiu one przede wszystkim – moim zdaniem – zadziałały, podczas gdy stereotyp „Cygana" stworzył tylko podłoże. W pogromie we Lwowie w 1918 r. zadziałała oczywiście niechęć do Żydów, ale działało też to, że ich łatwiej było dosięgnąć niż Ukraińców. Może być coś takiego jak pulsowanie traumy – zanikanie i nawroty tego uczucia, no i jego konsekwencji. Podatność na myślenie spiskowe jest warunkowana między innymi tym, że jest to może i najłatwiejszy sposób wytłumaczenia spraw trudnych. Nie tylko u nas znaczna część opinii jest podatna na tezę taką jak ta o zamachu smoleńskim. W USA licząca się część opinii wciąż szuka spisku, który doprowadził do zamachu na Kennedy'ego. Przecież naprawdę trudno przyjąć do wiadomości, że spada akurat samolot prezydencki, a umiarkowanie inteligentnemu Oswaldowi udało się przechytrzyć całą ochronę itd.

Trauma może być wzmocniona przez świadomość innych okoliczności. Swoje straszne źródło traumy – bomby na Hiroszimę i Nagasaki – Japończycy przyrównują do Auschwitz[4] zapewne nie tylko dla realnego nieszczęścia, jakiego wtedy doznali, ale też po to, by choćby podświadomie zrównoważyć własne wojenne winy. Podobnie Niemcy przypominają, co się działo w Berlinie w 1945 r. (powiedzmy, że przynajmniej część z nich dziś rozumuje: „Już swoje odcierpieliśmy!"). Realnej traumie może towarzyszyć jej instrumentalne wykorzystywanie – na przykład przypominanie win Niemców wobec Polaków, propagowanie mówienia „Niemcy" zamiast „naziści" i głoszenie tezy o już parokrotnie wspominanym „dziadku z Wehrmachtu". Czasem takie działania były jeszcze bardziej obrzydliwe – jak powtórna ekshumacja i sekcja zwłok gen. Sikorskiego – z oczywistym politycznym celem (a może z nadzieją, że w doczesnych szczątkach Generała znajdzie się pocisk z napisem „sdiełano w SSSR"?!). Nowelizacja ustawy o IPN z 2018 r. mogła oczywiście oddawać uczucia wnioskodawców, ale była też politycznie wygodna w podkreślaniu przez nich, że bronią honoru narodu, za obrazę którego proponowali karę. Tu ważniejsze były symbole w roli gestów, których skutki byłyby widoczne w efekcie mrożącym niż realne działanie tej ustawy, prawniczo bezsensownej. Mówienie więcej najpierw o Powstaniu Warszawskim, potem o partyzantce antykomunistycznej po wojnie, powtarzanie w kółko, że „myśmy obalili komunizm" (jak gdyby nie współdziałały inne czynniki), budowanie obrazu Smoleńska… w sumie mówienie więcej o tym wszystkim niż o zjawisku i sukcesie pierwszej Solidarności było całkowicie grą polityczną. Gdy w trochę mi znanej Brazylii u schyłku lat trzydziestych XX w. prezydent Getúlio Vargas wystąpił przeciw zachowywaniu odrębności przez skupiska imigrantów między innymi z Polski i z Niemiec (część jego dyskursu przypominała nacjonalistyczny dyskurs w Polsce przeciw

[4] Jie-Hyun Lim, *Global Easts: Remembering, Imagining, Mobilizing*, New York: Columbia University Press, 2022, s. 104 i n.

Żydom), mógł rzeczywiście chcieć jednoczenia i ujednolicania narodu brazylijskiego. Mógł się obawiać sytuacji międzynarodowej – choć obawa przed polską flotą najeżdżającą wybrzeże brazylijskie (nawiązuję do ówczesnej tamtejszej prasy) sugeruje dużą wyobraźnię. Najpewniej jednak chciał też pokazać się jako herold brazylijskości.

Zupełnie inna jest trauma na tle „gorszości" w społecznościach skolonizowanych, zwłaszcza w koloniach francuskich, belgijskich i niemieckich w Afryce, także w wypadku wielu krajów w byłych koloniach azjatyckich czy też ludów natywnych we wszystkich trzech Amerykach niż też istniejąca trauma białych społeczności długo zależnych od silniejszych na południe od Rio Grande lub społeczności w świecie muzułmańskim. Jeszcze inna jest trauma Europy Wschodniej z Rosją włącznie, rodząca się na tle gorszego rozwoju gospodarczego w porównaniu z rozwiniętymi krajami Europy Zachodniej.

Od jakże wielu czynników zależny jest proces uznawania pewnych grup oraz indywidualnych ludzi za „innych", „obcych", nawet jeśli łatwo się zgodzić, że człowiek straumatyzowany jest bardziej podatny na przyjmowanie takiej definicji o ludziach choć trochę mu dalszych! Do spraw stosunków chrześcijańsko-żydowskich w Polsce trzeba dodać na przykład kształtowanie się narodu bez państwa, właśnie w trakcie walki o niepodległość. „Młode" narody są na ogół silnie nacjonalistyczne. Gdy zaś natychmiast są znów zagrożone (Polska 1920), pewno łatwiej zwracają się przeciw „odmieńcom" (Jabłonna!). Mała stabilność państwa wzmacnia skutki traum. Czasem trudno jednak powiedzieć, co jest skutkiem traumy, a co jej przyczyną lub co najmniej czynnikiem wzmacniającym. Historyczna trauma może zmniejszać zaufanie do państwa, czyniąc je mniej stabilnym – ale niestabilne państwo nie pomoże obywatelom uporać się z traumą.

Przy rozpatrywaniu kwestii roli traumy dla zwracania się przeciw wyróżniającym się grupom warto wzbogacić rozważania o kwestie dystansu wynikającego z religii, kultury i obyczaju. W okresie międzywojennym w odniesieniu do Ukraińców nasuwała się myśl o spolszczeniu ich (pomińmy negatywne cechy takiego działania z naszego punktu widzenia), podczas gdy w stosunku do Żydów – praktycznie nigdy. Nawet ostatnio Ukraińców przyjmowano, a wobec ludzi odmiennych kultur postawa była i chyba jest w wielu wypadkach gorsza. Można jednak kontynuować. W pozytywnej wobec Ukraińców postawie zadziałała też niechęć do Rosji, może chęć wybijania się na prowadzenie w regionie, może proste przekonanie, że można w końcu zrobić coś dobrego niezależnie od ciągłych politycznych sporów w Polsce, współczucie wobec ludzi, z którymi łatwo się dogadać.

Dawna, ale wciąż aktywna w powojennych pogromach legenda o mordowaniu dzieci i braniu ich krwi na macę przez Żydów miała (używajmy w czasie przeszłym, oby zasadnie!) dodatkowe uwarunkowanie w miejscu dziecka w kulturze, która jest przyjazna wobec małego i bezbronnego człowieczka. To może jest i najgorszy argument, jaki można wymyślić przeciw Żydom, ale nie tylko przeciw tej grupie (analogicznie do mordowania dzieci, nawet jeśli nie dla krwi,

odwołują się przeciwnicy aborcji). Taki argument każdy rozumie, podobnie jak argument, że uchodźcy będą gwałcić kobiety. Jest on łatwiej zrozumiały i silniej przemawia nawet niż niebezpieczeństwo nalotu dronów (to drugie mocniej się odsuwa ze świadomości?). Negatywne przesłanie Kościoła katolickiego wobec Żydów, zwieranie się społeczności żydowskiej do wewnątrz (gdzie przyczyny i skutki konsekutywnych zjawisk mieszają się), relatywnie częsta w tej grupie specjalizacja w handlu i obrocie pieniężnym (częsty czynnik niechęci w historii), podczas wojny i po niej przenoszenie agresji czasem spontaniczne, a w historii nieraz świadomie aktywowane (Rosja po 1905 r.)… miały nie mniejsze znaczenie niż wszelkie traumy. Również, paradoksalnie, istotne było zróżnicowanie położenia członków społeczności żydowskiej na drabinie hierarchii społecznej. Biednych nie lubiano („straszne dzielnice" itp.) – ale to dzięki wyższemu usytuowaniu części grupy łatwiej było przyjmować koncepcję dążenia Żydów do panowania nad światem. Ta koncepcja nie byłaby „atrakcyjna" w innych krajach w odniesieniu do, powiedzmy, Inuitów, a w Polsce nikt by pewno jej nie odniósł do Romów (o tych ostatnich sądzono „tylko", że kradną). Jest też znaną sprawą, że obawy przed wydzieloną grupą rosną, gdy jej położenie poprawia się. Po wojnie zniknęła masa biednych Żydów, większe szanse przetrwania i pozostania w Polsce mieli bardziej zasymilowani z dominującą kulturą inteligenci lub komuniści, zwłaszcza ci powracający z ZSRR, jedni i drudzy przesunęli się ponad najczęstsze miejsce Żydów w hierarchii przedwojennej i oczywiście hierarchii czasu okupacji.

* * *

W odczuciu traumy i reakcjach na nią jesteśmy warunkowani przez szeroko rozumianą kulturę społeczności, w tym stopień przyjmowania w niej do wiadomości, że niektóre konflikty można rozładować, nim zagnieżdżą się w zbiorowej świadomości na wieczność. Także przez „mieszaninę traum", jaka może powstać na terenach imigracyjnych, gdzie różne grupy przynoszą swoje traumy, a zaczynają mieć nowe, wyhodowane w procesie adaptacji i funkcjonowania na docelowym terenie. Możemy być warunkowani przez zachowane w społecznej świadomości obrazy-klisze, mające wpływ na materializowanie się efektów traumy. Jakieś obrazy z historii, nawet dawnej, prawdziwe lub naciągane, można dziś też stosunkowo łatwo wprowadzić do społecznej świadomości. Nie zawsze podobne sytuacje muszą jednak działać jako klisze. Autor pisze: „W końcu obrazy dzielnych obrońców Wyspy Węży z pewnością przywoływały znane ze szkoły historie o obronie gdańskiego Westerplatte" (s. 261). Bez badań sądzę, że nic nie musiało niczego przywoływać. Chłopak mówiący wielkiemu okrętowi wojennemu, że ma się od…, działał wystarczająco na wyobraźnię (nawiasem mówiąc, w dalszym biegu wojny los tego okrętu okazał się zgodny z życzeniem chłopaka). Generał boliwijski, który podczas wojny Pacyfiku zareagował na propozycję poddania się tak samo jak gen. Cambronne, którego odpowiedź na analogiczne

wezwanie przeszła do historii, z pewnością nie znał przedmiotowego słowa jako „słowa Cambronne'a". Często wszakże wiemy, jak jakieś zjawisko powinno wyglądać lub czego można oczekiwać – zarówno w sprawach banalnych, codziennych, jak w dramatycznych, które antycypujemy. W znakomitym filmie *Sklep przy głównej ulicy*[5] jest scena, w której starsza bohaterka filmu, zagrożona przez rozwój sytuacji, reaguje półprzytomnie pytaniem, czy to pogrom. Ona z tradycji, może z młodszych lat, może z przekazu, jaki funkcjonuje w społeczności, wie, że Żydom grożą pogromy. Nie przyrównując, po wprowadzeniu stanu wojennego z przekazu społecznego wiedzieliśmy, jak wyglądają rewizje itd., a z czasów PRL wiedzieliśmy, jakie artykuły warto i technicznie ma sens kupić na zapas. Część opinii publicznej potępia Okrągły Stół – z różnych przyczyn. Jest jednak wśród nich i ta, że „to" powinno inaczej wyglądać. W polskiej kliszy nie ma wyjścia z sytuacji opresji bez walki. I wprawdzie czy to w 1956, czy w 1980, nawet w grudniu 1981, powstrzymywano się przed nią (nie rozważam tu, czy w ogóle była możliwa) – ale Okrągły Stół był radykalnie z nią sprzeczny. Przecież komuniści „władzy raz zdobytej nie mieli oddać nigdy"! Nasunęła się zatem klisza zdrady, też mająca swoje miejsce w polskim myśleniu. Obraz katastrofy smoleńskiej jako zamachu ratował wizję nie tylko walki, ale walki tragicznej. O zmarłych wręcz mówiono „polegli". Na tablicy zamykającej niszę grobową ostatniego prezydenta RP na uchodźstwie, Ryszarda Kaczorowskiego, pierwotnie napisano o śmierci „w Katyniu" (potem poprawiono).

Może się zdarzyć, że klisza i trauma, nawet sprzeczne ze sobą, koegzystują. W Polsce istnieje silna klisza antyniemiecka, a trwa duża migracja Polaków do Niemiec, co najmniej szukanie tam okresowej pracy – zaś nastawienie do sąsiadów jest pewno lepsze w dawnym zaborze pruskim, wręcz na „Ziemiach Odzyskanych", wzdłuż granicy, niż w Kongresówce. Ten sam czy bliski czynnik może działać w drugą stronę. Pokolenie dorastające bez istotnej traumy społecznej i w społeczności może zachowującej poczucie traumy, ale z pewnością już zmniejszonej, może na zagrożenia reagować nie zmniejszonym lękiem, lecz odwagą. Pewno tak się tłumaczy wiele z postawy społeczeństwa izraelskiego, zwłaszcza postawy tamtejszej armii (nie będziemy ponownie ofiarą!).

Z zainteresowaniem przeczytałem u Bilewicza uwagi o zwiększonym w różnych krajach lęku w obliczu pandemii u przedstawicieli grup mniejszościowych, które miały złe doświadczenia dziejowe. Pamiętam własną rozmowę z Ojcem o fali wyjazdów ludzi pochodzenia żydowskiego z Polski po 1956 r. Chyba to wtedy zapytałem Go, dlaczego zdecydowali się wyjeżdżać ci, którzy przecież przetrwali trudniejszy czas doświadczenia Holokaustu. Ojciec odpowiedział „właśnie dlatego" (sens: raz wystarczy, a na dodatek pamięta się, do czego to może doprowadzić). Pamiętam jednak też duży udział młodzieży w strajkach 1980 r. i nasze tłumaczenie sobie, że oni nie wiedzą, co czynią (więc się nie boją). Istnieje stary, chyba żydowski dowcip, jak do jubilera przychodzi człowiek z prośbą

[5] Reż. Ján Kadár, Elmar Klos, Czechosłowacja 1965.

o oszlifowanie wyjątkowo cennego diamentu. Ten woła pomocnika i mówi lekko: „Oszlifuj to panu". Na to zdumiony interesant pyta, czy jubiler nie boi się, że tamten coś zepsuje. Na to jubiler: „On nie wie, co to jest, jemu ręka nie zadrży"

Nawet reakcja ludzi, którzy przeżyli trudne rzeczy, czasem jest nie lękowa – ale taka, w ramach której wyciąga się wiedzę z doświadczenia. We wspomnieniach czy Bartoszewskiego, czy Kuronia, czy o niejednym człowieku w takich sytuacjach (ewentualnie właśnie o wymienionych) pojawia się wątek, że byli wsparciem dla innych więźniów, wiedząc, jak to działa i jak się zachowywać. Pojawia się u Bilewicza wątek, że poczucie traumy, przypomnienie/wzmocnienie go, także rozbudzenie u młodszych poczucia traumy występującej w myśleniu grupy, może akcentować związek z grupą/narodem. Niektórzy uczestnicy życia społecznego uważają nawet jej rozbudzanie za wychowawcze, za element wychowania patriotycznego („…jak nasz naród cierpiał!") i chcą pokazywać dzieciom, jak poprzednie pokolenia mordowano. W moim przekonaniu lepiej byłoby chronić dzieci właśnie przed tym niż piętnastolatki przed pigułką „dzień po" – ale to inna sprawa. W kontekście rozpatrywanej sprawy warto zwrócić uwagę, że nieraz jednak trauma wywołuje wyłączenie się z grupy, emigrację do innych krajów. Jasne, że można zadać następne pytanie o kwestię dalszej identyfikacji emigrantów – indywidualnej, grupowej i w kolejnych pokoleniach, także w zależności od ewolucji kraju pozostawionego i kraju przyjmującego – ale to już nie tym razem.

* * *

Bilewicz ma rację, że trauma jest bardzo ważnym czynnikiem zarówno w życiu poszczególnych ludzi, jak społeczności, choć może mieć zróżnicowaną wagę. Jak wspominałem, ma wsparcie swoich tez – także w odpowiedzi na wysuwane przeze mnie zastrzeżenia – w postaci mocnego argumentu korelacji statystycznych. Niektóre argumenty wyprowadzane ze statystyki można zresztą połączyć z moimi obserwacjami (na przykład większa niechęć do szczepienia się przeciw COVID w dawnym NRD niż w dawnych Niemczech Zachodnich). W ramach swojej wagi trauma owocuje wszakże bardzo różnie – poczynając od indywidualnych obsesji i trwające rozgrywanie w myślach dawnych spraw, po wycofanie, donosicielstwo, projekty przebudowy społeczeństwa… Może zresztą brak podpisu prezydenta na profesorskiej nominacji autora też da się wytłumaczyć w ramach rozważań na przedmiotowy temat książki – przez narodowe traumy i wynikające z nich przekonanie, że naród ofiar nie może być narodem sprawców rzeczy niedobrych, podczas gdy badania Bilewicza niekoniecznie to potwierdzają?

Traumę można wytropić w najróżniejszych punktach historii, jak wiele innych czynników. Jednocześnie w naukach społecznych niebezpieczne jest uciekanie się do jednego czynnika, który za dużo tłumaczy. Sprawy społeczne rzadko mają genezę jednoczynnikową. Coś może istnieć w danym społeczeństwie, ale dodatkowe okoliczności zdecydują o zadziałaniu tego czegoś i przesądzają roż-

ne cechy zadziałania. Zjawisko, o którym mowa, przypomina obecność bakterii. Są wszędzie – ale tylko czasem ich obecność sama w sobie przesądza o zapadnięciu na chorobę.

Autor pisze w zakończeniu, że powinniśmy zmniejszać traumę narodu przez inne nauczanie historii. Jestem za, niedawno wypowiadałem się nie tylko za ograniczaniem minimów programowych, ale za istotniejszą ich zmianą w zakresach, o których mam chociaż cień pojęcia. Niemniej w dzisiejszym stanie świadomości historycznej ludzi oraz sposobie nauczania zmiana przekazywania treści jest uwarunkowana rozlicznymi czynnikami. Przecież historia jest alfabetem; nawet przy dobrej woli wybieramy z niej to, co nam potrzebne do skomponowania oby pięknego wiersza. W Izraelu przez długi czas ludzie woleli przypominać powstania w getcie warszawskim i białostockim niż sam Holokaust – co łatwo zrozumieć, zwłaszcza że oni sami siebie pytali, czy zrobili wszystko, co można było, żeby pomóc, zaś na świecie obecny był obraz, jakoby Żydzi zachowywali się „jak barany idące na rzeź". W przekazywaniu obrazu historii w Polsce działa nie tylko podniesione w książce dziedziczenie przez inteligencję tradycji ziemiańskich i wynikająca z nich popularność tradycji rycerskich (jeśli inteligencja naprawdę dziedziczy i faktycznie nieustająco dziedziczy). Z tej samej tradycji mogą wyrosnąć różne rezultaty. Luter żywił nastawienie antyżydowskie, co przywołuje się nawet przy rozpatrywaniu faszystowskiego antysemityzmu, ale przecież szczęśliwie nie w każdym kraju protestanckim antysemityzm tak się rozbuchał. W moim przekonaniu, jeżeli już mowa o tradycji walki w Polsce, to większą rolę od dziedziczenia przez kogokolwiek tradycji ziemiańskiej odegrało zdominowanie przekazu historycznego w Polsce przez tradycję Kongresówki, zacofanej i buntującej się. Charakterystyczne zresztą, że w ramach tradycji powstań znacznie mniej mówi się o wielkopolskim i śląskich (to nie tylko okoliczność, że były mniejsze od listopadowego, styczniowego i warszawskiego).

Dalsza kwestia: sprawa może nie być oczywista. Obraz historii jest pewnym konstruktem, czy to w wersji nauczania szkolnego, czy książki-wizji dla narodu (zakładając, że naród kupi!). Z zaborcami i okupantami nikt nie współpracował – tylko jakoś tak się złożyło, że Galicja dostarczyła nieproporcjonalnie dużo urzędników odrodzonej Polsce, a w ogóle ludzie żyli na co dzień, zaś podczas okupacji hitlerowskiej kolejni dowódcy AK poza Borem-Komorowskim wpadli na skutek zdrady. Jednak kolaboracji państwa faktycznie nie było. Nadto termin „konstrukt" lepiej pasuje do „prawdy historycznej" niż do fałszu. Wbrew zasadom logiki, w moim zawodzie nad uznaniem czegoś za prawdę można długo dyskutować i niekoniecznie będzie ona jednoznaczna, podczas gdy fałsz bywa znacznie bardziej oczywisty i pozadyskusyjny.

Czy zmiana koncepcji przekazu historycznego jest drogą – jak sugeruje Bilewicz – do wyprowadzania narodu z konsekwencji traumy? Wbrew powiedzonku o aż starożytnej metryce (Cyceron) nie uważam historii za „nauczycielkę życia". Jeżeli nawet jest nauczycielką, to bardzo nerwicującą audytorium. Buduje, a nawet przekazuje nerwice i często skłania się ku dumie jako lekarstwu. Wolałbym

rozbudzanie świadomości sukcesów, jakie Polska – jak każdy kraj – przecież miała, niż kultywowanie więzów narodowych zasadzających się na nieszczęściach. Powtórzę: rozbudzania świadomości, nie dumy. Lubimy opowiadać, co polscy emigranci dali światu. Ja bym wolał wyrazić żal, że nie znaleźli możliwości pożytecznej i satysfakcjonującej pracy na miejscu. Maria Skłodowska-Curie jest, a przynajmniej powinna być naszym powodem do dumy nie mniejszym, a może większym niż machający mieczem rycerz. Ale dlaczego ma być powodem do dumy? Czy nauka jest meczem? Prawdę mówiąc, nawet na patrzenie z narodowym entuzjazmem na rozgrywki sportowe nie mogę się zdobyć – przy pełnym uznaniu dla ludzi i zespołów z racji ich osobistych umiejętności (już pomińmy kwestię, że dziwne są narodowe drużyny, gdy sportowców do nich wynajmuje się za pieniądze, w potrzebie przyznając szybko obywatelstwo!). W wypadku Marii Skłodowskiej-Curie chętniej porozmawiałbym z audytorium o tym, co wielkie odkrycie naukowe daje po prostu ludziom i jak trudno jej było do niego dojść.

Sam chętnie bym zaproponował szerokie rozważanie różnych problemów, skupienie refleksji na problemach istotnych dla narodowych dziejów – jak to nastąpiło w wypadku tzw. nurtu ludowego czy dyskusji wokół stosunków chrześcijańsko-żydowskich w Polsce (choć, jak zawsze, chętnie prowadziłbym taką dyskusję w wymiarze porównawczym z analogicznymi sprawami w różnych krajach). Chętnie rozważałbym problemy generalne ludzkości, najczęściej obecne na wielu terenach – zarówno te radosne, jak te straszne, czy występowanie w tych samych krajach, nawet w tych samych czasach, wyjątkowego bohaterstwa i poświęcenia oraz wyjątkowego łajdactwa. Dyskusję o zwiedzaniu miejsc męczeństwa, toczącą się najczęściej wokół tego, czy młodzież szkolna, zresztą zarówno z Polsk czy Izraela, jak skądkolwiek, jest dostatecznie dojrzała, by je zwiedzać, uzupełniłbym o pytanie, po co się ją tam wozi. Sprawa wieku jest tu też ważna. Zabroniłbym udziału dzieci w rekonstrukcjach historycznych drastycznych scen. Miałbym na uwadze sprawę wrażliwości przy zwiedzaniu miejsc strasznej pamięci i to, że wycieczka młodzieży ma swoje cechy – przez co łatwo tworzy się niedobry kontrast pomiędzy powagą miejsca a „wygłupami". Chciałbym rozmowy – w ramach nauczania historii – o rodzeniu się wielkiego zła w dziejach. Wiem, że wielkie zło jest najtrudniej wytłumaczyć, ale choćby porównawczo coś można pokazać, choćby to, jak różne mogą być jego źródła, lub to, że nawet wielkie pożary na wczesnym etapie można zagasić wiadrem wody itd.

Chętnie rozmawiałbym o tematyce książki – jak los historyczny wpływa na narody w biegu ich dziejów i dziś. Historia może być terapią narodową – byle nie przez wołanie, że jesteśmy wspaniali, podczas gdy inni okropni, lecz przez wielostronne rozważenie zaistniałych w dziejach problemów.